

ANTTI TUOMAINEN



CZŁOWIEK, KTÓRY UMARŁ

PRZEWROTNA POWIEŚĆ KRYMINALNA,
W KTÓREJ OFIARA SAMA SZUKA
SWOJEGO ZABÓJCY!

ALBATROS

1

– To naprawdę wielkie szczęście, że zostawił pan także próbkę moczu.

Z podłużnej twarzy siedzącego za stołem lekarza bije powaga i doniosłość. Ciemne oprawki okularów podkreślają błękit oczu, przeszywających mnie na wylot.

– To... – rozpoczyna – będzie wymagało odrobiny wstępu. Kontaktowałem się z lekarzami z Kotki i Helsinek. Ich opinie całkowicie pokrywają się z wnioskami, do których doszliśmy. Nie mogliśmy zrobić niczego, nawet gdybyśmy to zauważyli podczas pańskiej poprzedniej wizyty. Jak się pan czuje?

Wzruszam ramionami. Powtarzam to, co powiedziałem poprzednim razem, i dodaję jeszcze najnowsze objawy. Wszystko rozpoczęło się od nagłego i bardzo silnego ataku nudności, który dosłownie zwałił mnie z nóg. Potem poczułem się lepiej, ale tylko na chwilę. Co jakiś czas słabnę tak, że boję się utraty przytomności. Miewam napady kaszlu.

Stres nie daje mi spać. Kiedy zasypiam, dręcą mnie koszmary. Często boli mnie głowa i czuję się tak, jakby ktoś mi ją podrzynał od środka na wysokości oczu. Gardło mam wiecznie zaschnięte. Ataki nudności, które znów się pojawiły, nadchodzą niespodziewanie.

A wszystko właśnie teraz, kiedy nasza firma przygotowuje się na najgorętszy okres roku, na swe największe wyzwanie i najważniejszy zryw od początku jej istnienia.

– Otóż to – potwierdza lekarz. – Otóż to.

Nie odpowiadam ani słowem, a on milczy.

– W grę nie wchodzi przedłużające się uciążliwe przeziębienie, jak początkowo przypuszczaliśmy – odzywa się po chwili. – Bez próbki moczu w ogóle nie udałoby się tego wykryć. Po otrzymaniu wyników postanowiliśmy wykonać tomografię, dzięki której całość zaczęła nabierać konkretnych kształtów. Problem w tym, że pańskie nerki, wątroba i trzustka, a więc najważniejsze i największe narządy, są bardzo poważnie uszkodzone. Z tego, co pan mówi, wnioskuję, że został również uszkodzony ośrodkowy układ nerwowy. Niewykluczone, że cierpi pan na porażenie mózgowe. To wszystko jest bezpośrednim skutkiem zatrucia, które zdołaliśmy stwierdzić na podstawie próbki moczu. Stopień toksyczności, czyli ilość trucizny, ma taki poziom, że zaszкодziłby nawet hipopotamowi. To, że nadal pan tu siedzi i chodzi do pracy, jest w moim przekonaniu możliwe dlatego, że proces zatruwania odbywał się od bardzo długiego czasu. Trucizna gromadziła się w pańskim organizmie od tak dawna, że zdążył się pan do niej w pewnym

sensie przyzwyczać.

Upadek odbywa się wewnątrz, jakby coś, co jest we mnie, oderwało się i runęło w lodowatą przepaść. To trwa parę sekund. Potem kończy się – i oto znów siedzę na krześle naprzeciwko lekarza, jest wtorek, a ja zaraz pojedę do pracy. Czytałem o ludziach, którzy zachowują rozsądek podczas pożarów albo po tym, jak zostali postrzeleni, i nie wpadają w panikę, choćby wylewały się z nich wiadra krwi. Patrzę lekarzowi prosto w oczy i zachowuję się tak, jakbym czekał na autobus.

– Powiedział pan, że pracuje w branży grzybowej – odzywa się lekarz.

– Matsutake nie są trujące – odpowiadam. – A zbiory dopiero się zaczną.

– Matsutake?

Nie wiem, jak daleko w przeszłość mam sięgać.

Wybieram krótką wersję: w Helsinkach żona pracowała w dużym zakładzie jako kucharka, a ja byłem kierownikiem sprzedaży. Trzy i pół roku temu kryzys uderzył w nasze miejsca pracy i w tym samym czasie oboje dostaliśmy wypowiedzenie. Równocześnie Hamina – podobnie jak dziesiątki innych mniejszych miast – gorączkowo poszukiwała nowej działalności gospodarczej na miejsce zlikwidowanego portu i fabryki papieru. Przeprowadziliśmy pospieszne negocjacje i otrzymaliśmy hojne wsparcie na start firmy – właściwie darmowe pomieszczenia i siłę roboczą obeznaną w lasach i okolicach. Sprzedaliśmy nasze dwupokojowe mieszkanie w Oulunkylä, na przedmieściu

Helsinek, i za otrzymane pieniądze kupiliśmy w Haminie domek jednorodzinny oraz małą łódź z włókna szklanego, która jest zacumowana przy pomoście, jakieś siedemdziesiąt metrów od naszej skrzynki na listy.

Pomysł na firmę: matsutake, czyli gąska sosnowa.

Japończycy mają na jej punkcie fioła, w Finlandii jest jej pełno.

Japończycy płacą za młode grzyby nawet tysiąc euro za kilogram. Na północ i wschód od Haminy są lasy, w których gąski sosnowe można by ścinać kosą. A my mamy na miejscu lokal do obróbki – suszarnię, pakownię i chłodnię – oraz pracowników. W czasie zbiorów raz w tygodniu wysyłamy transporty do Tokio.

Muszę wziąć oddech. Lekarz nad czymś się zastanawia.

- A pański tryb życia tak poza tym?
- Słucham?
- Jedzenie, ruch?

Mówię, że jem dobrze. Nie narzekam na brak apetytu. Odkąd spotkałem Tainę, czyli od ponad siedmiu lat, ani razu sam nie musiałem przygotowywać posiłku. A Taina nie gotuje potraw, w których łyżeczka purée z selera rozpaczliwie szuka pojedynczego źdźbła trawy pszenicznej. Składnikami, które preferuje moja żona, są śmietana, sól, masło, sery i wieprzowina w dużych ilościach. Lubię jej kuchnię, zawsze lubiłem. To widać po mojej talii. Ważę dwadzieścia cztery kilo więcej niż na naszej pierwszej randce.

Taina nie przytyła, może dlatego, że jest bardziej krzepkiej budowy. Wygląda jak zawodniczka trójboju siłowego

na chwilę przed olimpiadą. Myślę tak w najpiękniejszym znaczeniu tego słowa: uda Tainy są jędrne, krągłe i mocne. Ramiona szerokie, a ręce silne, ale nadal kobiece, brzuch płaski. Kiedy oglądam zdjęcia kulturystek, które nie doprowadziły się jeszcze do stanu wygłodzenia, myślę o mojej żonie. Poza tym Taina uprawia sport: chodzi na aerobik, siłownię i – odkąd przeprowadziliśmy się tutaj – wiosłuje po zatoce. Czasami próbuję jej towarzyszyć. Fakt, że ostatnio coraz rzadziej.

Nie wiem, dlaczego tyle mówię, tak rozwlekłe, dlaczego w ogóle muszę opowiadać o Tainie ze wszystkimi szczegółami. Brakuje tylko, bym przedstawił jej wymiary z dokładnością co do centymetra.

Wreszcie – kiedy lekarz, z tego, co widzę, nie kieruje swych uzdrawiających oczu tam, gdzie bym sobie tego życzył – pytam, co zrobimy. Spogląda na mnie, jakby właśnie zrozumiał, że nie usłyszałem ani słowa z tego, co powiedział. Za szklami okularów dostrzegam ruch mrugających powiek.

– My nie będziemy robić nic – odpowiada.

Skąpany w świetle gabinet jest tak pełen lata i słońca, że muszę zmrużyć oczy.

– Przykro mi – mówi lekarz. – Być może nie wyraziłem się wystarczająco precyzyjnie. Nie potrafimy określić, jaka dokładnie trucizna wchodzi w grę. Wygląda to na połączenie wielu składników pochodzenia naturalnego. I podobnie jak trucizna, również zatrucie w sensie toksykologicznym wydaje się, na podstawie pańskich objawów i słów, opty-

malnym połączeniem nadzwyczaj długotrwałego narażenia na działanie środków toksycznych z rozwiniętą do granic tolerancją. Nie możemy niczego zrobić. Nie istnieje nic takiego, co mogłoby przywrócić normalny stan albo przynajmniej zatrzymać ten proces. Może nas co najwyżej interesować, ile potrwa, aż organizm po prostu przestanie funkcjonować. I niestety prowadzi to do śmierci.

W tej zalanej słońcem letniego dnia przestrzeni ostatnie słowo brzmi szczególnie groteskowo. To słowo znalazło się w niewłaściwym miejscu. Ja znalazłem się w niewłaściwym miejscu. Przyszedłem tu z powodu przeziębienia, myślę. Pewnie także z powodu bólów brzucha i osłabienia. Chcę usłyszeć, że potrzebuję odpoczynku i antybiotyków, może, w najgorszym wypadku, płukania żołądka, a potem wyzdrowieję i będę mógł...

– Tę sytuację można by porównać do raka trzustki albo marskości wątroby – ciągnie lekarz. – Kiedy ważny organ przekracza swój próg wydajności, nie wraca już do swojego pierwotnego stanu, tylko niejako ciągnie do ostatka, wypala się i stopniowo gaśnie jak świeca. Nie zostaje nic do zrobienia. Organu nie można również przeszczepić, ponieważ zostały zniszczone także narządy z jego otoczenia i w żaden sposób nie zdołałyby wesprzeć funkcjonowania tego wszczepionego, wręcz przeciwnie, że się tak wyrażę. A w pańskim przypadku każdy organ jest w stanie daleko posuniętej degeneracji. I w tym właśnie może tkwić sekret stosunkowo dobrego samopoczucia, w tej specyficznej równowadze złych mocy.

Spogląda na niego. Przechyla odrobinę głowę.

– Wszystko jest oczywiście względne – dodaje.

Siedzi za swoim stołem. Siedzi tam dziś i będzie siedział jutro, i jeszcze w przyszłym tygodniu. Ta myśl dopada mnie z wielką siłą i dopiero po chwili rozumiem, dlaczego mnie nurtuje.

– Ile... – zaczynam. O takie rzeczy pyta się tylko raz w życiu, teraz to do mnie dociera. – Jak długo... Do kiedy... Czy ja... Ile zostało mi czasu?

Lekarz, który będzie pracować w swoim zawodzie jeszcze przez co najmniej dziesięciolecie, a potem przeżyje na emeryturze kolejne dziesięć albo i dwadzieścia lat, poważnie jeszcze bardziej.

– Biorąc pod uwagę całościową sytuację... – odpowiada. – Dni, najwyżej tygodnie.

Najpierw chcę krzyczeć. Cokolwiek. Potem chcę uderzać, bić. Potem robi mi się niedobrze. Przełykam ślinę.

– Nie wiem, jak to możliwe – mówię.

– To połączenie wszystkich...

– Nie o to mi chodzi.

– Otóż to.

Milczymy.

Odnoszę wrażenie, że lato zamienia się w jesień, zimę, wiosnę, znowu w lato. Lekarz spogląda na mnie pytająco, przesuwając po blacie stołu niebieską kartkę. Dostrzegam na niej moje dane, wypisane dużymi literami. Jaakko Mikael Kaunismaa. Numer identyfikacyjny 081178-073H.

– Czy ma pan jakieś życzenia?

Chyba sprawiam wrażenie zdziwionego, bo lekarz precyzuje pytanie:

– Terapia kryzysowa? Pomoc psychiatryczna? Miejsce opieki paliatywnej albo hospicjum domowe? Łagodzenie bólu? Leki uspokajające?

Muszę przyznać, że tego typu sprawy nie zaprzętały mi wcześniej głowy. Nie rozmyślałem zbyt dokładnie o schyłku swego życia. Na żadnej mojej liście nie znalazły się takie akurat kwestie. Śmierć nadchodzi tylko raz w życiu, uprzedzam sobie, i może należało bardziej w nią inwestować. Ale ja zawsze jej unikałem, a także wszystkiego, co się z nią łączy. Teraz rozumiem, jak wielkie to pytania, jak przełomowe decyzje. Przez ostatnie siedem lat wszystkie przełomowe decyzje podejmowałem wraz z żoną. Od Helsinek do Haminy, od gąski sosnowej do łodzi motorowej.

– Muszę pomówić z żoną – odpowiadam.

Kiedy słyszę własne słowa, wiem, że tak właśnie jest: muszę porozmawiać z Tainą, a cała reszta wyjaśni się potem.

2

Asfalt dyszy i wibruje. Wiatr zapomniał o swojej jedynej powinności: wianiu. Z każdej strony jest tak zielono, a powietrze tak bardzo duszne, że czuję się, jakby ktoś mnie zanurzył w gęstym mchu. Ściskam w spoconej dłoni komórkę. Nie wiem dlaczego. Nie zamierzam nigdzie dzwonić. O takich sprawach nie mówi się przez telefon. Odklejam od skóry koszulę, lecz materiał w jednej chwili przywiera z powrotem do ciała.

Wsiadam do samochodu, uruchamiam silnik i nastawiam klimatyzację na maksa. Kierownica pod moją ręką jest mokra i bezwładna. Jeśli ten spokój wynika z tego, że jestem w szoku, to nie mam nic przeciwko.

Wyruszam ze szpitala i skręcam w prawo. Powinienem skręcić w lewo – to najprostsza droga – ale potrzebuję paru minut, chcę zebrać myśli.

Pomieszczenia naszej firmy znajdują się po drugiej stronie wieży ciśnień, w dzielnicy Hevoshaka. Jadę w kie-

runku rzeki Salmenvirta aż do końca drogi, potem skręcam w lewo i podążam wzdłuż cieśniny do Savilahti. Spomiędzy drzew i budynku prześwituje morze niebieskie jak mundur policjanta. Ktoś poprawia przed domem kostkę brukową, która była ułożona bez zarzutu, jakaś kobieta z falującymi włosami pedałuje od strony rynku, rowerowy koszyk wypełniając zakupy. Jest za pięć jedenasta. Przedpołudnie w Haminie.

Wjeżdżam na Mannerheimintie, skręcam w lewo. Z Mullinkoskentie skręcam powtórnie w lewo na Teollisuuskatu. Hevoshaka to mała dzielnica i z wyglądu zadziwiająco niejednolita. Można tam znaleźć wszelkie wariacje budynków mieszkalnych i biurowych, od wielkich do małych, od domków jednorodzinnych do bloków, od budek z hot dogami aż po hale przemysłowe.

Nasza firma zajmuje w całości jednokondygnacyjny żółto-brunatny budynek z małym punktem przeładunkowym na jednym końcu oraz pomieszczeniami saunowymi i tarasem na drugim. Nie dostrzegam nigdzie samochodu Tainy. Może jeszcze nie przyjechała. Albo wyskoczyła do domu na lunch. Czasami tak robi. Ja niezbyt chętnie opuszczam firmę w trakcie dnia pracy. Rozbija mi to wewnętrzny zegar i kalendarz. Wolę spędzać dzień w pracy i wracać do domu wieczorem, to łatwiejsze i bardziej przejrzyste. Wtedy te miejsca pozostają rozdzielone, praca nadal jest pracą, a dom tym bardziej domem.

Zawracam przed budynkiem firmy i kieruję się na wyspę Pappilansaari. Telefon mam przy sobie, pomiędzy no-

gami.

Mówią, że Hamina jest okrągła. To dotyczy jednak tylko samego serca miasta: ratusza i kilku okrążających go ulic. Poza tym miasto jest równie prostokątne jak wszystkie inne.

Rynek huczy.

Oprócz miejscowych sprzedawców dostrzegam wszystkie stałe elementy krajobrazu: ciągnące się metrami stwardniałe pałeczki lukrecji, lniane podkładki do sauny w obrzydliwie wygórowanych cenach, majtki pieluchowe w paczkach po dziesięć, dwadzieścia i sto sztuk.

Co jakiś czas powraca do mnie myśl o śmierci, ale skupienie się na niej jest właściwie niewykonalne, zwłaszcza że chodzi o własną śmierć. Sekundę później zastanawiam się już nad czymś na wskroś powszednim: nad dzisiejszą listą zakupów, firmowymi wydatkami.

Po kilku minutach przejeżdżam przez most Pappilansalmi. Nasze miasteczko to skupiska domów porozrzucane po przylądkach, wyspach i obszarach leśnych. Podłużne odnogi morza wdzierają się pomiędzy ludzi i budynki, połykają zielone skrawki ziemi.

Z daleka dostrzegam bordowego hyundaia Tainy. Za nim wyrasta kawałek po kawałku błyszcząca czarna corolla. Pewnie dopiero co wymyta. Zatrzymuję samochód przy ulicy, kawałek przed wjazdem do domu, i wyłączam silnik.

Czy Taina coś wspominała, że przyjedzie do nas Petri?

Czasami moja żona zostaje w domu, by wypróbować nowe przepisy, i Petri jej pomaga. Petri to pierwszy pra-

cownik, którego zatrudniliśmy. Zna nasze sprzęty i maszyny, instaluje i naprawia wszystko, co trzeba. Poza tym zna na wylot każdą drogę, każdy zakręt i zakole w promieniu pięćdziesięciu kilometrów i pomaga nam w najprzeróżniejszych problemach logistycznych.

No dobrze, myślę, wysiadając z samochodu, powiem Petriemu, że musi wrócić na Teollisuuskatu, bo kalibrownik się zablokował. Coś na pewno wymyślę. A potem posadzę Tainę na kanapie i powiem... Nie wiem co, ale jedno jest pewne: nie będę musiał niczego zmyślać.

Mieszkamy w ostatnim budynku na zwężającej się ku końcowi żwirowej drodze. Elewacja jest radośnie żółta, po drugiej stronie domu ciągnie się zielone podwórze ozdobione krzewami owocowymi i starymi klombami, opadające do porośniętego sitowiem brzegu. Pośrodku znajduje się dziesięciometrowy taras, z którego można oglądać morze w całkowitym spokoju; również przeciwny brzeg jest wystarczająco odległy.

Wspinam się po prowadzących do drzwi wejściowych schodach od strony ulicy. Ostatnimi czasy wciąż mam zadyszkę. Sądziłem, że to sprawa przeziębienia, że może w grę wchodzi zapalenie oskrzeli lub w najgorszym wypadku zapalenie płuc. Opuszczam rękę na poręcz i chwilę odczekuję. Słyszę odgłos nadlatującego hydroplanu.

Bogaci Rosjanie wybudowali sobie w okolicy pałace z widokiem na morze, a niektórzy mają na swoich przystaniach oprócz jachtu własny hydroplan. Hałasują nimi w locie przez rok lub dwa lata, a potem wystawiają cały chłam

na sprzedaż i oczywiście nie mogą znaleźć kupca ani na swój samolot na płozach, ani na willę. W podupadającej miejscowości, zamieszkaney przez starzejące się społeczeństwo i dotkniętej wysokim bezrobociem, irracjonalni milionerzy nie wyrastają jak grzyby po deszczu.

Hydroplan jest coraz bliżej.

Poręcz staje się nagle zimna. Odrywam od niej dłoń, otwieram drzwi i wołam „Cześć!” na powitanie. Nikt nie odpowiada. Może są w kuchni. Przechodzę przez cały dom na drugą stronę, gdzie znajduje się kuchnia. Drewniana podłoga skrzypi mi pod nogami.

Pomieszczenie jest puste, wszędzie panuje porządek. Na kuchence nie dymi z ani jednej patelni czy garnka, gołe blaty aż błyszczą, nie unosi się żadna woń. Wołam Tainę po imieniu.

Hydroplan brzęczy dokładnie nad naszym domem, mój głos ginie w podniebnym szumie. Kieruję się do tylnych drzwi, otwieram je i wchodzę na szczyt schodów. W hałasie hydroplanu ginie szcęk otwieranych drzwi, a także jęknięcie, które wydobywa mi się z gardła.

Taras się kołysze.

Albo to ja się kołyszę.

Nie, to taras jest w ruchu.

Moje wyostrzone zmysły rejestrują – niezależnie od brzęczenia hydroplanu, który na błękitnym, ciepłym niebie wykonuje tuż nade mną ostry łuk – jak trzeszczy metalowy leżak firmy Masku, jak piszczą włókna sztuczne ocierających się o siebie biało-czerwonych poduszek i jak po prawej

stronie leżaka zakupiony w Bauhausie niemiecki grill na kółkach przesuwają się zgrzytliwie milimetr po milimetrze ku brzegowi tarasu i jak z powodu niespokojnych ruchów cierpi huśtawka po lewej, a pelargonie w kącie sprawiają wrażenie, jakby były gotowe w każdej chwili rzucić się do sprintu.

Petri spoczywa na leżaku na plecach, stopami do mnie i domu. Głowę odrzucił do tyłu ponad oparciem, w pozycji wręcz nienaturalnej. Patrzy na morze do góry nogami, jeśli ma otwarte oczy. Nie wiem, czy starcza mu na to sił. Taina robi wszystko, by miał zaciśnięte powieki.

Moja żona jest odwrócona plecami do mnie. Jej szerokie plecy błyszczą od potu, silne krągłe pośladki lśnią niczym wielkie rumiane policzki. Cwałuje na Petrim, jakby próbowała wjechać na górskie zbocze. Nogi trzyma stabilnie na deskach tarasu, a jej biodra równomiernie pompują, by koń zwyciężył samego siebie. Imponująca praca. Twarz skierowała ku niebu. Być może widzi ten sam hydroplan co ja.

Tempo narasta. Narasta, choć powinno to być niemożliwe.

Widzę łom oparty o ścianę szopy.

Właśnie wtedy nadchodzi atak nudności. Torsje są tak silne, że omal nie zwalają mnie z nóg.

Przytrzymuję się obiema rękami poręczy. Wymiociny lecą strumieniem w stronę tarasu.

Hydroplan trzęsie całym budynkiem. Wycofuję się – automatycznie i prowadzony wewnętrzną siłą – do środka i

zamykam za sobą drzwi.

Czuję, jak powietrze wypełnia mi płuca. Przez jakiś czas nie oddychałem. Prostuję się.

Odgłosy hydroplanu słyszeć coraz słabiej, jakby w sąsiednim pokoju brzęczała mucha. Wiem, że to, z czym tutaj przyszedłem, nie może w żaden sposób zostać wypowiedziane, nie zasługuje na to, i że rzeczą, której pragnę teraz najbardziej na świecie, jest klimatyzacja w moim samochodzie.

3

Co jakiś czas zbaczam na przeciwległy pas i wciąż próbuję mierzyć ze środka jezdni na prostą. Droga podskakuje, kołysze się. Na szczęście ulice są pustawe, turyści opanowali rynek lub morze, a miejscowi załatwiają swoje sprawy w centrum albo z samego rana, albo pod wieczór. Jest południe, chwila wytchnienia.

W mojej głowie nie ma takiego spokoju. Wściekłość przemienia się we wstrząs, kolosalne rozczarowanie, nagie zimno, które nie ma konturów ani dna. Potem znów na powierzchnię wypływa wściekłość. Co jakiś czas widzę przed sobą poważną twarz lekarza i jego biały fartuch, po chwili znów mam przed oczami krągłe uda Tainy, pompujące jak na zawodach w podnoszeniu ciężarów.

Klimatyzacja pracuje z maksymalną mocą.

Zimne powietrze uspokaja mrowiącą skórę i oczy świe-
dzące od potu.

Znowu czuję, że moja twarz należy do mnie.

Chyba mam kierunek.

Miejsce do parkowania jest przed komisariatem. Dwupiętrowy budynek sprawia wrażenie spokojnego. To na tym placu jedyna nowoczesna budowla. Po obu stronach ratusza znajdują się kościoły: z południowo-wschodniej – cerkiew; z północno-zachodniej – kościół luterański. Tworzą gęsto zabudowany okrąg, otoczony stu pięćdziesięcioletnimi drewnianymi budynkami; są odrestaurowane, piękne, zdobne. Gdyby znajdowały się w Helsinkach, mogliby w nich mieszkać ci, którzy wygrali wcześniej w totka.

Byłem raz na komendzie, miesiąc temu. Złożyłem wówczas zawiadomienie o kradzieży. Sprzed budynku naszej firmy wywieziono materiały opakowaniowe. Wiedziałem, kto to zrobił. Zabawiłem się trochę w detektywa. Nie mogłem jednak niczego udowodnić, a policja nie zareagowała zbyt entuzjastycznie na moją teorię. Musiałem więc zamilknąć, odebrałem kopię zawiadomienia o popełnieniu przestępstwa, żeby wysłać ją do ubezpieczyciela, a potem wróciłem do pracy i usłyszałem od Tainy, że zawsze zbyt łatwo dają za wygraną.

Co w obliczu tego, co zdarzyło się przed chwilą, sprawia, że myślę o swojej sytuacji w zupełnie nowych kategoriach.

Wyłączyłem silnik. Pożerająca wszystko fala klimatyzacji znika, a w jej miejsce pojawia się przedziwny spokój. Jestem przekonany, że słyszę jadącą na rowerze dziewczynę w letniej spódniczce, słyszę wiatr w jej falbanach, koła na

asfalcie, słyszę dyskusję na temat niebieskich bratków prowadzoną przed kwiaciarnią i szum chłodziarek w budce z lodami. Pytam samego siebie, co mi się przydarzyło, i znam odpowiedź.

Otwierają się drzwi komendy.

Wychodzi z niej mężczyzna w moim wieku, rozgląda się ze złością, naciera na swój samochód, jakby zamierzał zmiażdżyć siedzenie, po czym z piskiem opon rusza w kierunku Szkoły Oficerów Rezerwy i znika. Właśnie tak, myślę. Jakich to błędów nie popełniamy, kiedy działamy w pośpiechu, w gniewie, w afekcie!

Zaledwie kilka sekund wcześniej sam miałem wbiec na komendę – żeby co im powiedzieć?

„Umieram, chyba mnie otruto, choć nie mogę tego udowodnić. Moja żona pieprzy się w ogródku z naszym młodym pracownikiem Petrim. Co policja zamierza z tym zrobić?”

Zdaję sobie sprawę, jak głupio i niemęsko to wszystko by zabrzmiało.

Jeśli wkrótce umrę – wolę mówić „jeśli” niż „kiedy” – nie zamierzam spędzać ostatnich dni życia na posterunku policji małego miasta i obnażaniu swoich prywatnych spraw. Zwłaszcza że to do niczego by mnie nie zaprowadziło. Co z tego – nawet gdyby myśli kłębiące mi się w głowie okazały się słuszne – że moja żona i jej o dziesięć lat młodszy kochanek postanowili mnie otruć?

Ta myśl naszła mnie sama z siebie, skądś się pojawi-

ła, nie ja na to wpadłem. Ale jest w tym jakaś logika: jak uprzątniemy starego grubasa, to po wszystkich naszych grach wstępnych przejdziemy wreszcie do konkretów. Tylko dlaczego nie rozwód? Nie mam pojęcia.

Ale nawet zakładając, że to ich sprawka, to co z tym zrobić? I kiedy? I co mi z tego przyjdzie?

Nic. Będę martwy.

Jestem martwy tak czy inaczej.

Wysiadam z samochodu. Upał porywa mnie w objęcia, powietrze jest nieruchome. Rozglądam się, głęboka zieleń bijąca z drzew świadczy o tym, że nadeszła pełnia lata.

Z budynku komendy wychodzi dwóch umundurowanych policjantów. Młodzi mężczyźni z bronią przy pasie. Jeden z nich zerka w moją stronę. Uśmiecham się i kiwam głową na powitanie. Wygląda, jakby się zastanawiał, czy mnie zna. Nie zna. Niby skąd miałby mnie znać. Patrzy znów przed siebie, zasłuchany w słowa kolegi. Mijamy się, dzieli nas co najwyżej półtora metra.

W budce z lodami pracuje nastolatka. Ma długie ciemne włosy i długie opalone ręce. Uśmiecha się w naturalny sposób, ta dziewczyna jest wcieleniem lata.

Zamawiam najpierw gałkę lodów rumowych z rodzynkami, potem drugą bananowych z lukrecją i kiedy sprzedawczyni wręcza mi rożek, decyduję się na jeszcze jeden smak tradycyjną wanilię. Dziewczyna dociska szczególnie gałki i podaje mi loda, który ma wysokość niemal pół metra. Płacę banknotem pięćdziesięcioeurowym, resztę wypy-

cham do miseczki na napiwki. Dziękuję mi kryształowym głosem. Życzę jej wszystkiego słonecznego.

Z różkiem w ręce siadam na kamiennym ogrodzeniu. Zlizuję wąskie strużki, które spływają z lodowej wieży. Nie czuję właściwie nic. Jestem, gdzie jestem. Przychodzi mi na myśl, że w gruncie rzeczy zawsze tak było. Tyle że wcześniej nie zdawałem sobie z tego sprawy.

Zerkam jeszcze w stronę komendy. Z kimś jednak muszę porozmawiać. Może nie akurat w tej chwili, kiedy mam usta pełne słodkich, pysznych, kremowych lodów, ale wkrótce. Od tej pory wszystko będzie wkrótce.

Moi rodzice nie żyją. Byłem jedynym dzieckiem starszego małżeństwa, nie mam brata, siostry ani bliskich krewnych. Nie utrzymuję kontaktów z przyjaciółmi z młodości. Nie mam znajomych, z którymi łączy mnie hobby, nie mam kolegów z pracy. Przebiegam w myślach kolejne twarze, głosy, sylwetki. Ludzie pojawiają się jeden za drugim, by coś powiedzieć, dotknąć mnie, spojrzeć w oczy, przejść się kawałek, podejść, a potem tym pewniej odejść. Nikt nie zostaje, nikt się nie zatrzymuje, nikt nie czeka, co powiem. Powoli zacznę tracić nadzieję.

Lody poprawiają mi nastrój. Czuję się tak, jakbym dostał prosto w żyłę solidną dawkę porządnego stymulanta. Albo tak to sobie wyobrażam. Niewykluczone, że już nie zdążę w tym życiu zażyć dożylnie narkotyków, więc wszelkie porównania pozostają na poziomie wyobrażeń i założeń. Ale czy tak samo nie jest z niemal wszystkim innym?

Czym więcej jest nasze życie niż myślami, wyobrażeniami, oczekiwaniami, założeniami i wnioskami wyciąganymi na chybił trafił?

Nigdy wcześniej nie zaprzętałem sobie głowy takimi refleksjami. Nie wiem, czy powinno mnie to cieszyć, czy martwić.

Dobrze mi z lodami w żołądku. Już sam ten fakt jest zwycięstwem.

Raz jeszcze robię w głowie rejestr osób ze swojego życia i wreszcie znajduję kogoś, kto być może będzie się nadał.

Krótką jazdą do pracy przebiega lepiej niż poprzedzający ją amok. Prawą ręką trzymam kierownicę, lewą zwieszam z otwartego okna. Pozwalam, by lato wiało mi w twarz.

Miasto jest ciche i ciepłe. Jadę Mannerheimintie i po raz pierwszy zauważam park po obu jej stronach. Po lewej obniża się on ku urokliwej sadzawce otoczonej drzewami, po prawej zieleń pęcznieje pagórkami w kształcie dawnych wałów obronnych.

Wreszcie skręcam na Teollisuuskatu, ale nie zatrzymuję się przed naszą firmą. Dobiega mnie głos Tainy. Słyszę konkretny ton, ten sam, którego użyła, mówiąc, że nie doprowadzam spraw do końca, że zbyt łatwo daję za wygraną. Ten głos łączy się z widokiem, którego świadkiem byłem przed chwilą. Ogarnia mnie wściekłość.

Przejeżdżam jeszcze jakieś siedemset metrów. Potem Teollisuuskatu skręca o dziewięćdziesiąt stopni na lewo i zmienia nazwę. Mijam granatowy budynek.

Spółka Grzyby Hamińskie.

Trzech mężczyzn, którzy pół roku temu pojawili się znikąd.

Kontaktowali się z naszymi partnerami z Japonii. Wiem, że obiecali im niższe ceny i lepszą jakość. Połączenie, rzecz jasna, niemożliwe. Jako handlowiec rozumiem jednak, że w uszach klienta taki tekst brzmi niczym najśłodsza muzyka. Nie mam pojęcia, czym zamierzają skusić dobrych zbieraczy, jak chcą wszystko zorganizować. Nie może chodzić o pieniądze, bo ich firma nie ma ani jednego klienta na taką skalę jak my.

Podwórze jest puste. Zazwyczaj przed budynkiem stoi ozdobnie oklejona furgonetka. Czasem jedno z wielkich drzwi automatycznych są otwarte, ze środka dobiegają dźwięki najnowszych fińskich hitów, a na kanapie wyniesionej na zewnątrz siedzi przynajmniej jeden z mężczyzn i pali papierosa. Teraz wszędzie panuje cisza, budynek sprawia wrażenie opustoszałego.

Przejeżdżam kawał drogi i zawracam. Ponownie zbliżam się do granatowego budynku i wystrzam wzrok. Nikogo. Zatrzymuję się przy drodze, ale potem decyduję się wjechać na podwórze.

Dzień dobiega dopiero do połowy, a ja już jestem tutaj. Wydarzenia poranka wydają się nieprawdopodobnie odległe. Zdejmuję nogę ze sprzęgła, zajeżdżam łukiem przed

budynek i wysiadam.

W długiej ścianie widzę dwoje drzwi: automatycznie otwierane i zwykłe. Obok tych drugich dostrzegam dzwonek, naciskam. Po chwili naciskam powtórnie. Nikt nie otwiera, nie słyszę też kroków dochodzących z wewnątrz. Próbuję klamki. Drzwi otwierają się po naciśnięciu. Wchodzę do środka, nawołuję. Zero odpowiedzi.

Od razu mam przed sobą coś w rodzaju biura, przez które muszę przejść, aby dostać się do innych pomieszczeń. Zatrzymuję się. Stoły i półki są puste. Laptop leżący samotnie na jednym ze stołów i krzesło biurowe odwrócone w kierunku drzwi świadczą o tym, że ktoś wykonywał tu kiedyś jakąś pracę i pośpiesznie wyszedł. Pomieszczeniem zawładnął wiszący na ścianie powiększony i oprawiony w ramki portret. Spojrzenie prezydenta Kekkonena wbija mi się w czoło i nie daje spokoju, chociaż skręcam i idę dalej.

W kuchnię i pomieszczenie socjalne ktoś musiał nieźle zainwestować. Zainwestować tak, jak robią to mężczyźni, jeśli dać im odrobinę czasu na zajmowanie się wyposażeniem wnętrza. Wysoki barek oraz duża oszklona szafa na napoje świadczą o tym, że ktoś tu bardzo lubi piwo. Wśród butelek królują estońskie browary, wybór jest imponujący.

W kuchni panuje porządek. Na lewo widać pomieszczenie rekreacyjne wyposażone w kanapy, wielki telewizor i godny pozazdrosczenia zestaw stereo. Przeglądam uporządkowaną kolekcję CD i DVD. Płyty z hitami i filmy akcji, od Arttu Wiskariego do Vina Diesela. Do sufitu jest przy-mocowany worek treningowy. Na ścianie wiszą czerwone

rękawice, pod nimi piętrzą się ciężarki.

Kiedy się odwracam, widzę na przeciwległej ścianie coś totalnie odmiennego.

Muszę podejść bliżej, żeby się przyjrzeć. Oglądałem kilka filmów samurajskich. Miecze ze ściany wyglądają tak samo jak te, które błyszczą w rękach poważnych filmowych bohaterów. Ostrożnie wydostaję z uchwytu jeden z nich. Wyjmuję z pochwy. Odnoszę wrażenie, że ostrze nie ma końca. Stał połyskuje, widok ostrej krawędzi wywołuje we mnie dreszcze, zimne i nieprzyjemne. Wsuwam miecz z powrotem do pochwy i odkładam na miejsce.

Wciąż jeszcze nie znalazłem niczego, co miałoby związek z grzybami. Gdybym musiał wyciągać jakieś wnioski na podstawie tego, co widziałem, postawiłbym na coś w rodzaju towarzystwa szabli i miecza utrzymanego w duchu prezydenta Urha Kalevy Kekkonena. Mimo wszystko biuro, kuchnia i pomieszczenie socjalne zajmują tylko niewielką część powierzchni firmy. Otwieram drzwi i przechodzę na drugą stronę hali.

Wystarczy pół minuty, bym poczuł się bardziej zazdrosny i bardziej zdumiony niż kiedykolwiek wcześniej ostatnimi czasami.

Wszystko jest oczywiście względne, bo akurat dziś wpadam w zdziwienie stosunkowo często. Sprzęty i urządzenia mają lepsze niż my. Błyszczą. Lśnią. Nie były używane ani razu, nie odnajduję ani jednej rysy czy jakiegokolwiek śladu użytkowania. Okrążam całą przestrzeń i próbuję jakoś przełknąć te wszystkie niespodzianki. Czegoś takiego się

nie spodziewałem.

Wygląda na to, że:

- a) nasi konkurenci nie żartują;
- b) to ludzie kompletnie inni, niż sądziłem;
- c) już po raz trzeci dzisiejszego dnia obudziłem się z ręką w nocniku.

Cofam tę metaforę. Ani razu nie miałem ręki w nocniku. Może na tym polega mój błąd.

Mamy prawdziwych konkurentów.

Wciąż myślę o naszej firmie w liczbie mnogiej. Nic w tym dziwnego. Taina i ja jesteśmy współwłaścicielami, założyliśmy firmę razem, razem zbudowaliśmy nasz mały sukces. To wydaje się ważne. Jest ważne. Niewykluczone, że firma to w tej chwili najważniejsza sprawa w moim życiu. A przynajmniej nic się w niej nie zmieniło przez całe przedpołudnie, co w obliczu mojej obecnej sytuacji mogę uważać za swoisty cud.

Przez jedyne okno hali wlewa się światło słoneczne. Wewnątrz panuje chłód. Zdaje się, że zobaczyłem wszystko, co miałem zobaczyć. Stoję jeszcze przez chwilę w miejscu i powracam tą samą drogą, którą przyszedłem. Kekkonen świadkiem, że opuszczam budynek.

Wskakuję do samochodu, pospiesznie wyjeżdżam z podwórza i za budynkiem skręcam wprost na Teollisuuskatu.

To dobrze. Furgonetka Grzybów Hamińskich jedzie mi naprzeciw. Za przednią szybą widzę całą trójkę. Kiedy ich mijam, każdy z mężczyzn wpatruje się we mnie.